



K.A. ZYSK

*Ryzykowna
Propozycja*

NIE SZATA ZDOBI CZŁOWIEKA, LECZ
JEGO WEWNĘTRZNE PIĘKNO.



K.A. Zysk

RYZYKOWNA
PROPOZYCJA

dla•czemu

WYDAWNICTWO DLACZEMU

dla•czemu

www.dlaczemu.pl

Dyrektor wydawniczy: Natalia Wielogórska

Redaktor prowadzący: Natalia Wielogórska

Redakcja: Aleksandra Wrońska

Korekta językowa: Dorota Marcinkowska | Na Pomoc Tekstom

Projekt okładki: Katarzyna Pieczykolan

Skład i łamanie: Anna Nachowska | PracowniaKsiazki.pl

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

Warszawa 2023

Wydanie I

ISBN papier: 978-83-67691-92-5

ISBN e-book: 978-83-67691-91-8

Zapraszamy księgarnie i biblioteki
do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami.

Dodatkowe informacje dostępne pod adresem:

✉ kontakt@dlaczemu.pl



*Piękno kobiety nie przejawia się w ubraniach, które nosi,
w jej figurze lub w sposobie, w jaki układa włosy.
Piękno kobiety musi być widoczne w oczach,
ponieważ są one drzwiami do jej serca –
miejsca, gdzie mieszka miłość.*

Audrey Hepburn

Informacja

Ta książka jest fikcją literacką i wydarzenia w niej zawarte nie mają nic wspólnego z prawdziwym kalendarzem mody. Jakiegokolwiek podobieństwo do rzeczywistych osób lub prawdziwych miejsc jest czysto przypadkowe. Wszyscy bohaterowie i cała fabuła są tworem mojej wyobraźni.

1

ROZDZIAŁ





LINA

Myślałam, że nic mnie już w życiu nie zdziwi. Jednak za każdym razem jestem albo mile zaskoczona, albo sprowadzana do parteru. Właśnie przed chwilą dowiedziałam się, że mam pakować swoje manatki i spływać. Mam ochotę krzyknąć, ale to się na nic nie zda. Po raz kolejny mnie zwolnili z roboty pod pretekstem tego, że się nie wyrabiam ze swoimi zadaniami. Gówno prawda. Ja wiem, dlaczego tak się dzieje. Po prostu nie pasuję do wizerunku firm, w których dostaję zatrudnienie. Najpierw dają mi pracę, by po kilku dniach ją odebrać. Na pewno spowodowane jest to moim wyglądem. Może i nie jestem dziewczyną, która ubiera się wyzywająco, podkreślając swoje atuty, i świeci dekoltem do pępka, ale jestem za to bystra i dobrze się spisuję. Przecież nie szata zdołbi człowieka, ważne są umiejętności i to, kim jest się w środku, nieprawdaż? Nagle mój monolog wewnętrzny przerywa ochroniarz wchodzący do recepcji.

– Panno Abney. – Odwracam głowę w jego stronę i patrzę, bliska płaczu. – Musi panienka opuścić budynek.

Ma na twarzy wypisany żal, ale robi tylko to, co do niego należy. Pracowałam dokładnie cztery dni w firmie kosmetycznej jako sekretarka głównego dyrektora – tłustego, starego frajera, który jest właścicielem. Wiecznie od niego śmierdziało, bo się pocił niczym świnia. Z jednej strony się cieszę, że nie muszę już tu pracować, ale z drugiej po raz kolejny zostałam bez pracy. Pakuję do kartonu ostatnie rzeczy, zbierając je z biurka, i się wynoszę.

– Jestem gotowa. Możemy iść – pry cham głośno i idę w stronę windy.

– Bardzo mi przykro, że straciła pani pracę, ale...

Nie дам mu dokończyć, bo szczerze mówiąc, nie mam ochoty słuchać, jak się nade mną lituje.

– Jasne. No, to do widzenia panie... – patrzę na jego plakietkę – Martin – dopowiadam i macham do niego na pożegnanie, wsiadając do windy i zjeżdżając na dół.

W recepcji na parterze oddaję swój identyfikator i czym prędzej wychodzę na świeże powietrze, powłóczę nogami w stronę mojej rozklekotanej Toyoty Starlet. Marzy mi się jakaś wypasiona bryka, ale to chyba nie w tym życiu. Jak będę ciągle tracić pracę, to niedługo wyląduję na ulicy. Normalnie zarabiście.

Usiłuję uruchomić silnik, ale on jak na złość nie chce zaskoczyć. Jeszcze tego brakowało, żeby ten przeklęty rżęch padł i dołożył mi kolejnych wydatków. Jezuuu... Ja się chyba normalnie powieszę. W końcu po kilku próbach odpala i wracam do domu. Mieszkam na Manhattanie i wiodę tam bardzo spokojne życie... Zaraz, zaraz. Chciałabym. Rezyduję w biedniejszej dzielnicy Chinatown, która znajduje się na Manhattanie, więc w sumie po części nie kłamałam. Wynajęłam tu sobie jakieś dwa lata temu, zaraz po skończeniu

uniwerku, małą kawalerkę. Nie jest ona jakaś wypasiona, bo na taką chyba nigdy nie będzie mnie stać, ale da się mieszkać. Na szczęście sąsiadów mam spokojnych – prowadzą na dole chińską restaurację i od czasu do czasu mnie dokarmiają.

Wyciągam z auta pudło i idę do mieszkania. W progu rzucam je ze złością na podłogę, a ono się otwiera i wszystko się z niego wysypuje. Trzaskam drzwiami, skopuję ze stóp buty na niskim obcasie, po czym rzucam się na kanapę. Przyciskam do twarzy poduszkę i głośno w nią krzyczę. Co ja mam teraz zrobić? No co? Na nowo muszę zacząć szukać jakiejś roboty, co zapowiada się na istną katorgę. Poprzednio zajęło mi to dwa miesiące i ciekawe, ile teraz będę potrzebowała czasu, żeby znaleźć następną.

– Jak mieć pecha, to już po całosci – mówię do siebie, wznosząc oczy.

Podchodzę do lustra, które znajduje się nad komodą obok drzwi wejściowych, i gapię się w swoje odbicie. Nic dziwnego, że mnie nie chcą zatrzymać. Jak ja wyglądam? Mam na sobie staroświecką i to jeszcze wyblakłą granatową spódnicę do kostek, białą luźną bluzkę z długim rękawem, włożoną do środka i zapiętą pod samą szyję. Zero makijażu, biżuterii, tylko nisko związany kucyk i kędziory, które wywijają mi się w każdą możliwą stronę. Nie mam brzydkiej twarzy, ale jeśli mam być szczerą, to mój ubiór nie podkreśla urody, wręcz bym powiedziała, że dokłada mi lat. I jeszcze te cholerne okulary w grubych bordowych oprawkach, które wyglądają, jakby były na mnie za duże. Mam dwadzieścia pięć lat, a patrząc teraz na siebie, dałabym sobie ze dwadzieścia więcej. Wyglądam na szarą myszkę, która boi się własnego cienia. Nie mam przyjaćiół i jestem sama jak palec. W sumie nie miałam jak i z kim się zaprzyjaźnić, skoro nigdzie długo nie zagrzałam miejsca.

Jedynie rok temu poznałam w Starbucksie dziewczynę, z którą czasami rozmawiam i jej się zwierzam. Wiele razy sugerowano mi, żebym bardziej o siebie zadbała, ale nie widziałam takiej potrzeby. Czy w tych czasach naprawdę liczy się tylko wygląd, a nie to, co ma się do zaoferowania? Z tymi myślami udaję się pod prysznic, a później spać. Jestem wykończona po całym dniu ogarniania papierkowej roboty i jego stresującym zakończeniu. Jeszcze musiał mnie dzisiaj ten stary przyk wykorzystać do pracy, by na koniec harówki oświadczyć, że jestem zbyt powolna, a on potrzebuje kogoś, kto będzie wykonywał swoje obowiązki w kilka sekund.

Życzę mu powodzenia.



Od tygodnia szukam pracy i nic. Telefon milczy, skrzynka pocztowa też, a ja zaczynam się coraz bardziej stresować. A jak nic nie znajdę? Potrzebuję cholerniej roboty na cito. Przeglądam w „New York Timesie” rubrykę z ofertami, ale nic tam dla mnie nie mają. Nie jestem wybredna i podjęłabym się dosłownie wszystkiego, ale jak na złość oferty skierowane są do facetów. Wszystko się sprzysięgło przeciwko mnie.

Wczoraj w Internecie natknęłam się na ogłoszenie z branży modowej o naborze na stanowisko asystentki prezesa, ale zero jakiegokolwiek odzewu. Pewnie mieli dużo zgłoszeń i być może nawet na moje nie trafili. Rzucam wściekle gazetę na stół i podchodzę do jednej z szafek, wyciągając gotową puszkowaną zupę pomidorową. Przelewam zawartość do garnka i podgrzewam sobie obiad na małym ogniu, co

chwilę mieszając. Raz po raz wzdycham, gdy nagle dzwoni moja komórka. Sięgam po nią bez żadnego entuzjazmu i zauważam na ekranie numer prywatny. Zazwyczaj od razu odrzucam takie połączenia, ale tym razem coś mnie skusiło, żeby odebrać.

– Słucham – rzucam do słuchawki.

– Dzień dobry, czy rozmawiam z panią Liną Abney? – pyta kobieta wyniośle.

– Tak. W czym mogę pomóc? – Wyłączam palnik z zupą i przelewam ją do miski.

– Dzwonię z domu mody MacMillan Fashion Company. Czy szuka pani jeszcze pracy? – dopytuje rozmówczyni, a moje serce raptownie staje.

Ręce mi się trzęsą z nerwów i chyba zaraz upuszczę telefon na podłogę, ale zbieram się w sobie, opanowuję i mówię:

– Oczywiście. Wciąż jestem w trakcie różnych rozmów – paplam, kłamiąc, ale muszę nagiąć prawdę i pokazać, że jestem rozchwytywana.

Przecież nie powiem, że od siedmiu dni użalam się nad sobą.

– Mam przed sobą pani CV, które jest imponujące, lecz zastanawia mnie, że w ciągu dwóch lat zmieniała pani tak wiele razy pracę. Co jest tego powodem?

Cholera! Co mam jej powiedzieć? Myśl, Lina, myśl, bo taka okazja może się więcej nie przytrafić. MacMillan Fashion Company to nie byle co. To jedna z największych firm mody w Nowym Jorku.

– Eee... – dukam, bo naprawdę nie wiem, jak to skomentować.

– Dobra, i tak już zadzwoniłam do wszystkich firm, w których pani pracowała, i każdy pani pracodawca twierdził, że była pani wspaniałym pracownikiem – gada jak katarynka, a ja nie dowierzam.

Przepraszam bardzo, ale co tu się, do licha, dzieje? Zwalniali mnie pod byle pretekstem, a tu nagle twierdzą, że byłam wspaniałym pracownikiem? Pfff... Dobrze sobie.

– Zapraszam panią jutro na dziesiątą rano na rozmowę, którą przeprowadzi z panią sam prezes, Rome MacMillan. Ubiega się pani o stanowisko osobistej asystentki, więc tylko on może stwierdzić, czy się pani nadaje. Proszę tylko być na czas, bo szef nie lubi spóźnienia. Najlepiej jest przyjść przed umówioną godziną. Spotkanie odbędzie się na Manhattanie, w głównej siedzibie domu mody. Jak mniemam, zna pani adres? – Zdecydowanie za dużo informacji.

– Tak, znam. Na pewno będę na czas. Też nie lubię spóźnienia. – Grzecznie odpowiadam.

– W takim razie do widzenia.

– Do... – Od razu przerywa połączenie, nie dając mi odpowiedzieć.

Cóż, było to dosyć ciekawe. Straciłam apetyt, ale wmuszam w siebie zupę, bo nie mam zamiaru jej marnować. Moja matka zawsze mi powtarzała, że nie należy wyrzucać jedzenia, bo na świecie żyją miliony ludzi, którzy nie mają co do garnka włożyć. Choć była podłą i wyrachowaną osobą, to miała rację, a ja wzięłam sobie tę radę do serca.

Po południu nie wiem, co ze sobą zrobić, bo strasznie się denerwuję nadchodzącym spotkaniem, dlatego postanawiam przygotować sobie ubrania na jutrzejszą rozmowę. W mojej szafie nie ma w czym przebierać, bo tak naprawdę są tam prawie same białe koszule i długie spódnice. Jednakże mam jedną białą w czarne paski i dobieram do niej czarną szeroką kieckę do kostek oraz gruby biały pasek. To mój najlepszy strój i mam nadzieję, że wystarczy. Naraz wzdycham z rezygnacją, bo jest ze mnie kompletna idiotka! Pójdę

ubrana jak bezguście do domu mody i jak tylko mnie zobaczą, to nie pozwolą mi nawet wejść do środka. Pukam się w czoło, siadam na łóżku i zakrywam twarz dłońmi. Zostaję w takiej pozycji przez chwilę, zastanawiając się, co zrobić. Iść czy nie? Ryzykować zrobienie z siebie pośmiewiska i starać się zdobyć pracę, dzięki której będę miała zapewnione środki do życia? Decyduję, że pójdę tam, będę pewna siebie i zaprezentuję się z jak najlepszej strony. Nie wyjdę stamtąd, dopóki mnie nie przyjmą. Taka okazja zdarza się raz w życiu i nie mam zamiaru wypuścić jej z rąk.



Stoję przed siedzibą MacMillan Fashion Company i patrzę na zegarek, sprawdzając, która jest godzina. Mam jeszcze trzydzieści minut w zapasie, ale udaję się do środka i ruszam wprost do tlenionej recepcjonistki, która siedzi za kontuarem z telefonem komórkowym w dłoni i szczyrzy się do ekranu. Nikt mnie po drodze nie zatrzymuje, więc jest dobrze. Wyglądam delikatnie spódnice trzęsącymi się dłońmi.

– Dzień dobry – witam się drżącym głosem, ale laska kompletnie nie zwraca na mnie uwagi.

Zaczynam się czuć niepewnie, a dość głośny chichot recepcjonistki tę niepewność potęguje. Nie wiem, czy udaje, że mnie nie widzi, czy rzeczywiście tak jest, ale powoli zaczynam się irytować i tracić cierpliwość. Jeśli ona tak podchodzi do pracy, to dziwię się, że jeszcze ją tu trzymają. Stukam dwa razy o blat i dopiero wtedy podnosi na mnie wściekły

wzrok, bo śmiałam jej przerwać oglądanie jakichś badziewi. Wstaje i mierzy mnie wzrokiem.

– W czym mogę pomóc? – Wiem, że mnie ocenia, bo zupełnie się z tym nie kryje.

– Mam umówione o dziesiątej spotkanie w sprawie pracy z panem MacMillanem – odpowiadam, nie okazując, że podkopała trochę moją pewność siebie.

Głupia dziewczucha śmieje się pod nosem, wypisuje identyfikator i podaje mi go ze słowami:

– Życzę powodzenia. Przyda się. – Puszczam mi oczko. – Windę na czterdzieste czwarte piętro. – Wskazuje mi kierunek, dokąd mam iść, i na powrót zajmuje się telefonem.

Teraz to już naprawdę zaczynam się denerwować i ze ściśniętym żołądkiem wsiadam do windy, wciskając guzik z odpowiednim numerem.

Recepcję mają tutaj ogromną, w kolorach beżu i szarości. Jest tu naprawdę przytulnie. Na ścianach wiszą zarówno obrazy z różnymi modelkami prezentującymi ubrania, jak i same szkice pięknych sukien. Po lewej stronie umiejscowiono kontuar z długą ladą, ale nie widzę, jak to dokładnie wygląda, ponieważ jest zabudowany marmurową ścianką. Po prawej z kolei znajduje się ogromna szara kanapa. Powiedziałyabym, że lekko pomieściłaby z dziesięć osób. Jest też beżowy stolik, na którym porozrzucano różne magazyny modowe. Podłogi są wyłożone szarymi marmurowymi kafkami, a całości dopełniają kolorowe doniczkowe kwiaty, które dodają uroku oraz świeżości. Rozglądam się po tym pomieszczeniu i naprawdę chciałabym tu pracować. Mam nadzieję, że mi się uda osiągnąć zamierzony cel. Choć ostatnio zaczęłam we wszystko wątpić, dzisiaj jestem mocno zdeterminowana i wierzę, że pan MacMillan mnie doceni.

– Zgubiłaś się? – Z tego zachwytu wybudza mnie miły kobiecy głos.

Zauważam młodą kobietę, która się we mnie wpatruje. Nawet nie spojrzalam, czy ktoś tu jest, bo byłam zbyt zafascynowana otoczeniem. Jednak wygląda na to, że dopiero skądś przyszła, bo trzyma w rękach jakieś segregatory.

– Witam. – Uśmiecham się nieśmiało, podchodząc do lady.

– Mam tu rozmowę z prezesem o dziesiątej.

– A, tak. Lina, prawda? – upewnia się, stukając w klawiaturę komputera.

– Zgadza się. Lina Abney. – Wyciągam dłoń, a kobieta ją chwytą i lekko nią potrząsa.

– Marina Barlowe. Jestem tu recepcjonistką.

Obczajam ją i widzę, że jest szykownie ubrana. Ma na sobie miętowe spodnium, które podkreśla jej idealne kształty. Rude włosy ma luźno puszczone i do tego makijaż, który nie jest plastikowy, a naturalny. Czuję się przy niej jak łachmyta w podartych ciuchach i jest mi wstyd, że wyglądam, jak wyglądam.

Od zawsze ubierałam się skromnie. Dzieciaki nie raz mi dokuczały, że wyglądam jak komik lub zakonnica i mówiły, że nie mam przyjaciół przez swój wygląd. Nic nie mogłam na to poradzić, że niby w domu nam się nie przelewało, a mimo to moja rodzicielka zawsze chodziła odstawiona, ze zrobionymi paznokciami i fikuśnymi fryzurami. Nie miałam za co kupić sobie ładnych ubrań i wiele razy zazdrościłam swoim rówieśnikom markowych łasezków. Matka kupowała mi skromne ciuchy w lumpeksach, bo nie byłam jedynaczką, i czy chciałam, czy nie, musiałam je nosić. Były to skromne rzeczy, nijakie i przede wszystkim na mnie za szerokie, ale mama twierdziła, że jestem dziewczyną i nie powinnam

chłopców wodzić na pokuszenie. Musiałam zakrywać swoje kształty. Przyzwyczaiałam się do tego stylu i przestało mi zależeć na wyglądzie. Ważne, że nauczyłam się czuć ze sobą dobrze. Nie wyobrażam sobie siebie w czymś takim, co ma na sobie Marina.

– Dam znać panu MacMillanowi, że już jesteś, a ty sobie usiądź. Jak szef będzie gotowy, to cię do niego zaprowadzę. Jeśli masz ochotę się czegoś napić, to masz tam dystrybutor z wodą albo możesz sobie nalać kawy lub herbaty z tamtych termosów – informuje, po czym odchodzi i siada za biurkiem otoczonym marmurową zabudową.

Robię tak, jak zostałam poinstruowana, i czekam. To czekanie jest najgorsze, bo człowiek by to szybko odbębnił i miałby z głowy, a tak się stresuje, bo nie wie, czy mu się uda wyrzucić dobre pierwsze wrażenie. Przeglądam „Vogue’a” i jestem tak pochłonięta gazetą, że nie zauważam stojącej przede mną Mariny.

– Hej, jesteś gotowa? Pan MacMillan cię oczekuje – oznajmia, a ja biorę głęboki oddech, wypuszczam powietrze przez nos i potakuję.

Oto moja chwila prawdy.

– Prowadź – mówię i idę za dziewczyną długim korytarzem.

Na jego końcu znajdują się solidne, dębowe drzwi ze złotą tabliczką z napisem: „Dyrektor Rome MacMillan” i być może moja przyszłość. Mam nadzieję, że nie odejdę stąd z kwitkiem. Marina otwiera drzwi i mnie zapowiada.

– Panie MacMillan, przyprowadziłam panią Abney.

– Pannę – szepczę, ale i tak było to na tyle głośne, że na pewno obydwój mnie usłyszeli.

– Niech wejdzie – odzywa się niezbyt przyjazny głos, który na swój sposób jest seksowny.

Karcę się szybko za te niestosowne myśli i prostuję ciało. Marina odsuwa się na bok i moim oczom ukazuje się facet zwrócony do mnie tyłem, wgapiający się przez okno w panoramę Manhattanu. Ma na sobie jasnoszary garnitur, jest wysoki i umięśniony. Zgaduję, że to sprawka siłowni i treningów. Jego czarne włosy obcięte są z tyłu dosyć krótko, aczkolwiek mimo pozy, którą przybrał, da się zauważyć, że na górze ma zostawione nieco dłuższe, żeby móc je przeczesywać dłonią. Ale dzisiaj ma je wystylizowane, tworzące schludną fryzurę. Widziałam jego zdjęcia w Internecie, lecz to nie to samo, co na żywo. Kultura wymaga tego, żeby się do mnie odwrócił i zmierzył się ze mną twarzą w twarz, ale tego nie robi.

– Możesz odejść, Marino, a pani niech usiądzie – wydaje polecenie.

Kobieta się ulatnia, a ja stoję jak słup soli i nie jestem w stanie się ruszyć. Jednak po kilku sekundach idę w stronę jego biurka i w tym samym czasie on się odwraca. Nie byłam na to przygotowana. Poczulałam się, jakby przywalił we mnie pociąg towarowy i zmiotł mnie z powierzchni ziemi. Jego błękitne oczy wwiercają się we mnie i widzę, jak zaciska mocno szczękę. Ależ on jest przystojny. Ma lekki zarost, który dodaje mu męskości, pełne usta i zgrabny nos. Chodzący ideał. Daję sobie mentalnego kopniaka w tyłek, bo zaraz zacznie mi kapać po brodzie ślina. Ale nie jestem przecież ślepa i widzę, że ten facet jest ciasteczkciem.

– Witam, panie MacMillan. Nazywam się Lina Abney. – Sama się jeszcze raz przedstawiam, bo tego wymaga profesjonalizm, i wyciągam do niego dłoń.

Wybudza się z zamyślenia, ale nie chwytą mojej ręki. Jest mi głupio i oblewają mnie poty w tym samym czasie.

– Co to ma być? – pyta wściekły, jednak nie bardzo wiem, o co mu chodzi.

– Nie rozumiem. – Jestem skonsternowana.

Spoglądam po sobie i w końcu załapuję. Krew odpływa mi z twarzy i zaczynam wykręcać palce.

– Co pani ma na sobie? – Patrzy na mnie z obrzydzeniem, a mnie się robi słabo.

– Ubra... Ubranie – dukam, zdenerwowana.

Spuszczam wzrok ze wstydu i nie wiem, jak powinnam się zachować.

– To się nie dzieje naprawdę. – Przeczesuje palcami włosy, psując swoją idealnie ułożoną fryzurę. – Czy pani jest poważna, przychodząc tak ubrana do firmy, która zajmuje się branżą modową?

– A co z moimi ciuchami jest nie TAK? – Podkreślam ostatnie słowo.

Teraz to już się najeżam, bo coś czuję, że zaraz dowali mi czymś, co wcale mi się nie spodoba.

– Wygląda pani jak... jak... – Brakuje mu słów, a mnie ogarnia jeszcze większe wkurzenie.

Myślałam, że przychodząc tutaj, spotkam się z profesjonalizmem, a tymczasem MacMillan okazał się zwykłym dupkiem.

– No jak wyglądam? Jak zakonnica? Wieśniara? Bezdonna? Biedaczka? No jak, panie prezesie? – kpię. Uraził mnie, a ja nie pozwolę nikomu sprawić, żeby było mi źle. To nie liceum, gdzie się każdy ze mnie nabijał i wytykał palcami.

Chce mi się ryczeć, ale nie mogę pozwolić sobie na taką słabość. Nie mogę pokazać, że jestem bierna, bo nigdy nie dostanę tej roboty.